Keith Laumer

Sługusy z gwiazd

(The Star-Sent Knaves)

`

Worlds of Tomorrow, June 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Clyde'a W. Snithiana cechował osobliwy, orli wygląd. Ciemnooki, o okrągłym brzuchu, z dużymi sugestywnymi dłońmi sklepowego sprzedawcy. W luźnym płaszczu zaokrąglającym mu ramiona, mrugając małymi poczerwieniałymi oczyma, patrzył na Dana Slane'a, przykurzonego po podróży, sześciostopowego mężczyznę.

— Pan Kelly, siedzący tutaj, powiedział mi, że domagał się pan spotkania ze mną. — Skinął głową w stronę rumianego mężczyzny u swego boku. Miał wysoki, piskliwy głos, który jakby domagał się naoliwienia. — Wspomniał coś o jakiejś istotnej informacji odnośnie zabezpieczenia moich obrazów.

— To prawda, panie Snithian — odparł Dan. — Wydaje mi się, że mogę być panu bardzo pomocny.

— Pomocny? A to w jaki sposób? Jeśli wpadł pan na pomysł naciągnięcia mnie… — Czerwone oczka świdrowały Dana jak gorące pręty.

— Nic podobnego, proszę pana. Proszę pozwolić mi na kilka słów wyjaśnienia. Ja wiem, że ma pan tutaj niezły system straży – gazety są pełne wieści na ten temat…

— Przeklęci podglądacze! Handlarze sensacją! Gdyby to nie była pożywka dla prasy, nikt by dzisiaj się nie interesował moimi obrazami!

— Tak, proszę pana, ale chciałem tylko powiedzieć, że jedno naprawdę bardzo ważne miejsce pozostało niestrzeżone.

— Zaraz, chwileczkę… — rozpoczął Kelly.

— Co to za miejsce? — przerwał mu Snithian.

— Ma pan stu pięćdziesięciu ludzi, dzień i noc pilnujących pańskiego domu i ziemi…

— Dwustu dwudziestu pięciu — warknął Kelly.

— … ale kompletnie nikogo w skarbcu z obrazami — dokończył Slane.

— Oczywiście, że nikogo — zapiszczał Snithian. — Po co miałbym umieszczać kogokolwiek w skarbcu? Jest pod stałym nadzorem, z korytarza na zewnątrz.

— Obrazy Herrimana zniknęły ze szczelnie zamkniętego skarbca — wskazał Dan. — Na drzwiach były nawet specjalne pieczęcie. Nie zostały złamane.

— Na Boga, on ma rację — zawołał Kelly. — Może powinniśmy mieć kogoś we wnętrzu skarbca.

— Kolejny idiotyczny plan, marnowania moich pieniędzy — rzucił ostro Snithian. — To pan jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo tutaj, Kelly! Skończmy już z tymi nonsensami. I niech pan wyrzuci stąd tego głupka! — Snithian odwrócił się i wymaszerował z pokoju, z płaszczem łopoczącym mu wokół kolan.

— Nie wezmę dużo! — zawołał Dan, kiedy Kelly złapał go za ramię. — Jestem miłośnikiem sztuki.

— Proszę się tym nie przejmować — odparł Kelly, prowadząc Dana korytarzem. Koło biura skierował go do środka i zamknął drzwi.

— A teraz, tak jak powiedział ten stary myszołów, to ja jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo tutaj. Jeśli te obrazy się ulotnią, moja praca ulotni się razem z nimi. Pański pomysł ze skarbcem nie jest zły. Tylko jak tanio zgodzi się pan pracować?

— Sto dolarów na tydzień — pośpiesznie zaproponował Dan. — Plus wydatki — dodał jeszcze.

Kelly skinął potwierdzająco głową.

— Pobiorę od pana odciski palców i uruchomię szybkie sprawdzenie przez agencję. Jeżeli okaże się pan czysty, zatrudnię pana, począwszy od dzisiejszego wieczora. Ale proszę tego nie rozgłaszać.

Dan rozejrzał się po szarych ścianach pokrytych aż po niski sufit półkami, pełnymi zapakowanych obrazów. Dwie trzystuwatowe żarówki zalewały jasnym światłem kafle podłogi. W środku miał do dyspozycji schludną, białą lodówkę, leżankę, głęboki fotel, pełną książek półkę, stół zasłany arkuszami papieru i utensyliami plastycznymi, oraz przenośne radio – wszystko to pośpiesznie zainstalowane tutaj na polecenie Kelly'ego. Dan otworzył lodówkę, przejrzał znajdujący się w środku stos opakowań salami, wątrobianki, sera i piwa. Rozkroił bochenek chleba, przygotował solidnie wypakowaną kanapkę, a na koniec otworzył puszkę piwa.

Nie była to już tylko abstrakcyjna fantazja, wszystko zaczynało nabierać kształtów. Faza pierwsza jego planu zakończyła się bez poważniejszych komplikacji.

Zasadniczo sam pomysł był bardzo prosty. Kolekcje dzieł sztuki znikały z polnie strzeżonych galerii i domów, na całym świecie. Oczywiste było, że nikt nie mógł wejść do zamkniętych skarbców, zabrać ze sobą stosu wielkich płócien i wyjść niezauważonym przez czujne oczy strażników – pozostawiając przy tym nieuszkodzone zamki.

A jednak obrazy ginęły. Ktoś musiał w tych skarbcach być – ktoś, kto nie dostał się do nich w zwykły sposób.

I w tym miejscu teoria zawodziła; co pozostawiało do dyspozycji jedynie metodę eksperymentalną. Kolekcja Snithiana była największą na zachód od Missisipi. Przy takim celu, złodziej musiał się w końcu pojawić. Jeśli Dan będzie siedział w skarbcu – przez całe dnie i noce – oraz będzie cierpliwie czekał, w końcu na własne oczy zobaczy jak oni to robią.

Dokończył przygotowaną kanapkę, podszedł do półek i zdjął jeden z owiniętych w brązowy papier pakunków. Rozwiązał sznurek i wyciągnął z obraz z opakowania. Był to wesoły, kolorowy widok kawiarni na otwartym powietrzu, z grupą kobiet oraz mężczyzn w barwnych, dziewiętnastowiecznych strojach, zebranych razem przy jednym stole. Wydawało mu się, że przypomina sobie artykuł na temat tego płótna, który czytał w jakimś magazynie. Cała scenka miała radosny charakter;

podobała się Danowi. A jednak, nie wydawała się być warta wszystkich jego wysiłków…

Podszedł do przełącznika na ścianie i zgasił światła. Pomarańczowy blask włókienek w żarówkach zgasł, pozostawiając jedynie słabą poświatę z nocnego oświetlenia nad drzwiami. Kiedy pojawią się złodzieje, to że jego oczy będą przyzwyczajone do mroku, mogło dać mu chwilową przewagę. Po omacku podszedł do leżanki.

Jak na razie, wszystko w porządku, pomyślał, wyciągając się na łóżku. Kiedy się pokażą, będzie musiał od razu załatwić całą sprawę. Jeśli ich spłoszy, nie będzie miał drugiej możliwości. Straci swoją szansę na… wszystko co mogło mu dać jego odkrycie, niezależnie od tego co to będzie.

Ale był gotów. Niech przybywają.

Osiem godzin, trzy kanapki i sześć piw później, Dan obudził się nagle z lekkiej drzemki i usiadł wyprostowany na leżance. Między nim a masą półek, w pustym powietrzu, materializowała się jakaś świecąca bladym blaskiem konstrukcja.

Zjawisko miało formę klatki z prętów – mniej więcej o rozmiarach i kształcie sławojki, tylko bez poszycia ścian – jak ocenił z zapartym tchem Dan. W jej wnętrzu widać było dwie postaci, siedziały wyprostowane w fotelach z rur. Świeciły, jeśli było to możliwe, jeszcze jaśniej niż sama konstrukcja.

Głuchą ciszę przerwał słabiutki pogłos – opadający jęk. Klatka szarpnęła się, zaczynając się zniżać w stronę podłogi. Strzeliły z niej długie, niebieskie wyładowania, zaskwierczały, zamykając zmniejszającą się szczelinę; ze zgrzytem metalu klatka osiadła na podłodze. Widmowi ludzie wyciągnęli ręce do upiornych przełączników…

Poświata zgasła.

Dan był świadom walenia swego serca, boleśnie tłukącego się między żebrami. W ustach miał pustynię. To była chwila, co do której tak długo snuł swe plany, teraz jednak kiedy był tutaj…

Mniejsza z tym. Wziął głębszy oddech, przebiegł w myśli wszystkie przemówienia, jakie przygotował sobie na tę okazję:

„Witajcie szanowni goście z przyszłości…"

Beznadziejnie oklepane. A może to:

„Witamy w dwudziestym wieku…"

Niedobrze; brakowało w tym spontaniczności. Przybysze wstali, odwróceni plecami do Dana, wyszli poza szkielet konstrukcji. W słabym świetle, wyglądała ona teraz jak zwykła toporna klatka, zbudowana ze stalowych rur, z zestawem dźwigni zamontowanych na stojącym przed dwoma siedzeniami pulpicie. A złodzieje wyglądali zupełnie normalnie: dwóch mężczyzn w szarych kombinezonach, jeden szczupły, wysoki i łysy, drugi niższy, o bardziej okrągłej twarzy. Żaden z nich nie zauważył Dana, siedzącego bez ruchu na leżance. Szczupły mężczyzna ustawił na stole

latarnię i przekręcił jej gałkę. Rozbłysło ciepłe światło. Goście popatrzyli na pełne obrazów półki.

— Zdaje się, że stare wygi dają sobie radę — stwierdził niższy z mężczyzn. — Ci bałwani powinni być zadowoleni.

— Bardzo sympatyczny towar — poparł go jego kompan. — Ale, musimy się pośpieszyć, Manny. Ile mamy czasu na ten skok?

— Mnóstwo. Przynajmniej piętnaście minut.

Szczupły mężczyzna otworzył jeden z pakunków i popatrzył na znajdujący się w nim obraz.

— Ach, wspaniały. Niemalże dorównuje Picassowi z jego okresu różowego.

Manny przekopywał się przez inne obrazy na stercie.

— Jak zwykle — gderał. — Żadnych nagich pań. Lubię nagie panie.

— Popatrz tylko na to, Manny! Już same tekstury…

Manny popatrzył.

— Taaa, nieźle ulokowane pieniądze — ustąpił. — Ale nadal wolę nagie panie, Fiorello.

— I to! — Fiorello uniósł następny obraz. — Popatrz tylko na tę żywą grę bogatych brązów!

— Widziałem bogatsze brązy na Trzydziestej Trzeciej ulicy — odparł Manny. — Mnóstwo wróbli w tym kolorze.

— Manny, czasami zastanawiam się nad twoimi aspiracjami…

— O czym ty gadasz? Używam dezodorantu w kulce. — Manny odwrócił się, aby umieścić obraz w klatce. Zatrzymał się jak wryty kiedy dostrzegł Dana.

Dan wstał i odchrząknął:

— Ehmm…

— Ho, ho — oznajmił Manny. — Zostaliśmy wystawieni do wiatru.

— Ja… ehmm… czekałem na panów — powiedział Dan. — Ja…

— Mówiłem ci, że nie można ufać żadnemu gościowi z dziewięcioma palcami u każdej dłoni — ochryple wyszeptał Manny. Przesunął się w kierunku klatki. — Wiejmy stąd, Fiorello.

— Zaczekajcie chwileczkę — wtrącił Dan. — Zanim zrobicie cokolwiek pośpiesznego…

— Lepiej niczego nie próbuj, Łachudro — ostrożnie rzucił Manny. — Potrafimy być naprawdę przykrzy, jeśli ktoś nam nadepnie na odcisk.

— Chciałem tylko w wami porozmawiać — nalegał Dan. — Widzicie, te obrazy…

— Obrazy? Proszę posłuchać. To wszystko, to jedna wielka pomyłka. Myśleliśmy, że to jest męska toaleta…

— Daj spokój, Manny — wtrącił się Fiorello. — Zdaje się, że nastąpił przeciek.

Dan pokręcił przecząco głową.

— Nie, nie było żadnego przecieku. Ja po prostu wydedukowałem…

— Posłuchaj, Fiorello — powiedział Manny. — Możesz sobie z nim gadać, jeśli masz ochotę; ja stąd natychmiast znikam.

— Nie rób nic pośpiesznie, Manny. Wiesz przecież, gdzie skończysz.

— Chwileczkę! — krzyknął Dan. — Chciałbym dobić z wami targu, chłopcy!

— Acha! — ryknął skądś głos Kelly'ego. — Domyślałem się tego! Slane, ty oszuście!

Dan szaleńczo rozglądał się wokół siebie. Głos zdawał się wydobywać z jakiegoś głośnika. Zdaje się, że Kelly zabezpieczył się przed ryzykiem.

— Panie Kelly, ja wszystko mogę wyjaśnić! — zawołał Dan. Odwrócił się z powrotem do Fiorella. — Proszę posłuchać, odkryłem…

— Całkiem sprytne! — szczeknął głos Kelly'ego. — Robota od wewnątrz. Ale do wykołowania takiego starego wygi jak Eddie Kelly, potrzeba kogoś więcej niż wam podobni!

— Chyba miałeś rację, Manny — stwierdził Fiorello. — Komplikacje są coraz większe. Lepiej wynośmy się stąd i to jak najszybciej. — Przesunął się w stronę klatki.

— A co z tym palantem? — Manny skinął kciukiem w kierunku Dana. — On sporo o nas wie.

— Nic na to nie poradzimy.

— Posłuchajcie… Ja chciałbym wyruszyć z wami! — zawołał Dan.

— No pewnie, że chciałbyś! — rozległ się ryk Kelly'ego. — Jeszcze chwilka i otworzymy drzwi, a wtedy wszystkich was dopadniemy! Dostaliście się tam przez tunel, co?

— Nie możesz zabrać się z nami, mój drogi przyjacielu — oznajmił Fiorello. — Miejsca jest tylko dla dwóch i dla nikogo więcej.

Dan wykonał piruet w stronę leżanki, złapał pistolet, który pozostawił mu Kelly. Wycelował w Manny'ego.

— Zostajesz tutaj, Manny! Ja wyruszam razem z Fiorello wehikułem czasu.

— Czy wyście poszaleli? — zaczął dopytywać się Manny.

— Bardzo mi to pochlebia, mój drogi chłopcze — powiedział Fiorello, — ale…

— Ruszajmy się stąd. Kelly zaraz otworzy zamek.

— Nie możecie mnie tutaj zostawić! — wrzasnął Manny, widząc jak Dan wciska się do klatki obok Fiorello.

— Przyślemy kogoś po ciebie — odparł Dan. — No, dalej, Fiorello.

Łysiejący mężczyzna złapał nagle za pistolet. Dan zaczął się z nim siłować. Pistolet wypadł mu z ręki, odbił się od podłogi klatki i poleciał w przeciwległy róg pomieszczenia skarbca. Manny zaszarżował, wyciągając ręce w stronę Dana, akurat w chwili gdy ten wykręcił się na bok. Łokieć Fiorella trafił go w usta. Manny zatoczył się i poleciał do tyłu w ramiona Kelly'ego, który z czerwoną twarzą wpadł właśnie do skarbca.

— Manny! — Fiorello zwolnił swój uchwyt na Danie, ruszając na pomoc swojemu kompanowi. Kelly przekazał Manny'ego jednemu z trzech gliniarzy, kłębiących się tuż za nim. Dan dopadł do konstrukcji, podczas gdy Fiorello siłował się z Kellym. Jeden z policjantów przepchnął się przez

nich, spostrzegł Dana i ruszył żwawo żeby go aresztować. Dan chwycił za przypadkowo wybraną dźwignię i pociągnął za nią.

Zapadła nagła cisza, a ściany pomieszczenia zaczęły świecić na niebiesko. Widmowy Kelly podskakiwał przed klatką, jarząc się fluorescencyjną niebiesko-fioletową poświatą. Dan przełknął z trudem ślinę i szturchnął drugą dźwignię. Klatka zaczęła się zapadać w podłogę, jak kabina windy, rozlewając na boki jaskrawo niebieskie światło.

Pośpiesznie cofnął dźwignię. Obsługa machiny czasu była trudną rzeczą. Jeden mały błąd i molekuły Slane'a stopią się i zmieszają z cząsteczkami cegieł i tynku.

Nie było jednak czasu na nadmierną ostrożność. Sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem, tym niemniej jednak, wszystko skończyło się mniej więcej tak jak tego chciał – w pewnym sensie. Machina czasu była do jego dyspozycji. A gdyby poddał się i popełznął z powrotem do skarbca, Kelly go dopadnie i zwali na niego każdą kradzież dzieł sztuki, popełnioną w czasie ostatniej dekady.

To nie może być takie trudne. Powoli się w tym połapie i rozszyfruje działanie urządzeń sterujących…

Dan złapał głębszy oddech i spróbował poruszyć inną dźwignią. Klatka łagodnie się uniosła, w niesamowitej ciszy. Dotarła do sufitu i wznosiła się dalej. Dan zazgrzytał zębami, kiedy wzdłuż klatki przeszedł w dół ośmiocalowy pas jasności. Po jego drugiej stronie, wyłonił się w obszernej kuchni. Otoczony niebieską aureolą kucharz człapał właśnie do świecącej lodówki, dostrzegł wznoszącego się z wolna ponad podłogą Dana i odskoczył do tyłu z otwartymi ustami. Klatka unosiła się dalej, przechodząc przez kolejny sufit. Dan rozejrzał się po wyłożonym dywanem holu.

Uważnie ustawił dźwignię sterującą w neutralnej pozycji. Klatka zatrzymała się jakiś cal powyżej podłogi. O ile Dan mógł cokolwiek powiedzieć, nie przesunął się nawet o chwilę w przeszłość ani w przyszłość.

Popatrzył po przyrządach sterujących. Jedna z tych dźwigni powinna być oznaczona „Do przodu", druga „Do tyłu", ale wszystkie były jednakowe, jednolicie czarne. Wyglądały, stwierdził Dan, jak zwykłe wajchy bezpieczników, czy przełączników wysokonapięciowych. Prawdę mówiąc, cały aparat miał wygląd pośpiesznie skleconego z dostępnych materiałów. Ale przecież, działał. Jak dotąd udało mu się znaleźć stery do manewrowania w trzech normalnych wymiarach, ale gdzieś tutaj być jeszcze przełącznik umożliwiający przesunięcia w czasie …

Dan uniósł wzrok, dostrzegając jakiś ruch w przeciwległej części holu.

Pojawiła się tam głowa i ramiona wchodzącej po spiralnych schodach dziewczyny. Za sekundę ona również go zobaczy i podniesie alarm – a Dan potrzebował paru chwil spokoju i ciszy, aby rozszyfrować działanie urządzeń sterujących. Poruszył więc dźwignią. Klatka podryfowała gładko w bok, prześlizgnęła się przez ścianę w fali jaskrawego, niebieskiego

światła. Dan ustawił dźwignię w poprzednią pozycję. Znajdował się teraz w sypialni, szerokiej izbie z falbaniastymi zasłonami, łóżkiem z kwiaciastym baldachimem, toaletką…

Otworzyły się drzwi i dziewczyna weszła do pokoju. Była młoda. Nie więcej niż osiemnaście lat, pomyślał Dan – o ile mógł cokolwiek na ten temat powiedzieć, z tym całym niebieskim światłem tańczącym wokół jej twarzy. Miała długie przewiązane wstążką włosy i długie zgrabne nogi. Ubrana była w szorty, w lewej ręce trzymała rakietę tenisową, a w prawej jabłko. Stojąc tyłem do Dana oraz klatki, rzuciła rakietę na stół, ugryzła jabłko i zaczęła energicznie rozpinać koszulkę.

Dan spróbował poruszyć dźwignię. Klatka przesunęła się w stronę dziewczyny. Kolejna; lekko się uniosła. Dziewczyna rzuciła koszulkę na krzesło i odpięła suwak ekspresu na boku spodenek. Kolejna dźwignia; klatka pomknęła w stronę zewnętrznej ściany, podczas gdy dziewczyna sięgnęła ręką za plecy…

Dan zamrugał oślepiony niebieskim rozbłyskiem i popatrzył na dół. Unosił się dwadzieścia stóp ponad krótko wykoszonym trawnikiem.

Popatrzył na dźwignie. Czy to nie ta pierwsza w rzędzie, przesunęła klatkę do przodu? Spróbował ją popchnąć, klaka pomknęła o dziesięć stóp naprzód. W dole jakiś człowiek wyszedł na taras, zapalił papierosa, postał chwilę, zaczął odwracać głowę do góry…

Dan szarpnął za dźwignię. Klatka pomknęła z powrotem przez ścianę. Znalazł się w pustym pomieszczeniu, z zagłębieniem w podłodze, szerokim oknem z donicą wypełnioną przez świecące na niebiesko rośliny…

Otworzyły się drzwi. Nawet w cała niebieska, dziewczyna wyglądała równie wdzięcznie jak jeleń. Ugryzła ostatni kęs jabłka i podeszła do dziesięciostopowej, zagłębionej w podłodze wanny. Dan wstrzymał oddech. Dziewczyna odrzuciła na bok ogryzek, i nagle jakby poczuła spoczywające na niej czyjeś spojrzenie. Obróciła się…

Z gwałtownym szarpnięciem, które rzuciło Dana na stalowe pręty, klatka śmignęła przez ścianę, wyskakując na otwartą przestrzeń i popędziła z przyspieszeniem, które chwyciło go i przytrzymało bezradnego. Na ślepo przesunął rękę na stery, pociągnął za dźwignię. Nie było żadnego efektu. Klatka pędziła dalej, wznosząc się coraz wyżej. W oddali Dan dostrzegł zbliżającą się z przerażającą szybkością, panoramę jakiegoś miasteczka. Nad innymi budynkami górował w niej piętnastopiętrowy wysoki biurowiec. Klatka kierowała się prosto na niego…

Dan zakrył oczy i cały się skulił…

Z gwałtownością, która rzuciła go na przeciwległą ścianę klatki, maszyna zahamowała, przemknęła przez ścianę i zatrzymała się z trzaskiem. Dan upadł na podłogę klatki, ciężko oddychając. Rozległo się głośne *klik!* i poświata znikła.

Gwałtownym ruchem Dan wygramolił się z klatki. Stał, rozglądając się wokół siebie w prostym, wymalowanym na brązowo biurze, kiepsko oświetlonym przez światło słoneczne, przebijające się przez wyszukane, weneckie rolety. Ściana zawieszona była plakatami, koło drzwi stała donica z jakimś zielem, obok niej leżała sterta obrazów w ramach. Po

przeciwległej stronie pomieszczenia stało biurko. Zaś przy biurku siedziało… coś.

II

Dan stał z otwartymi ustami, gapiąc się na głowę wielkości plażowej piłki, przymocowaną do torsu podobnego do stugalonowego wora na wodę. Para dużych, brązowych oczu mrugała do niego z punktów odległych od siebie o dobre osiem cali. Ogromne ręce, zakończone dłońmi o zdecydowanie zbyt wielu palcach, wyciągnęły się i otworzyły brązowe opakowanie. Zanurzyły się w środku, a następnie wrzuciły w szeroki otwór gębowy, który otworzył się tuż powyżej brązowych oczu, trzy orzeszki ziemne, po kolei jeden za drugim.

— Kim ty jesteś? — zapytał basowy głos, dobiegający z miejsca położonego gdzieś blisko podłogi.

— Ja… ja nazywam się… Dan Slane… do usług.

— Co się stało z Mannym i Fiorello?

— Oni… ja… tam pojawił się ten gliniarz, Kelly…

— Acha.

Brązowe oczy zamrugały ostrożnie. Wielopalczaste dłonie zamknęły karton z orzeszkami i schowały go do szuflady.

— No cóż, to była niezła zabawa, dopóki trwała — stwierdził basowy głos. — Szkoda kończyć tak zyskowne przedsięwzięcie. A jednak… — Z szerokich ust wydobył się odgłos podobny do głośnego prychnięcia.

— Jak… co…?

— Transporter wraca tutaj automatycznie, kiedy ładunek baterii spadnie poniżej wartości krytycznej — oznajmił głos. — Niezbędny środek zapobiegawczy, aby powstrzymać rozwój zbyt śmiałych pomysłów w głowach zatrudnianych przeze mnie cwaniaczków. Przy okazji, czy mogę zapytać, w jaki sposób znalazłeś się na pokładzie transportera?

— Ja chciałem tylko… to znaczy, po tym jak odkryłem… to jest policja… ja udałem się po pomoc — skończył kulawo Dan.

— Po pomoc? Niestety, nie wchodzi w rachubę. Musisz wziąć pod uwagę, że ktoś musi utrzymać czyjąś anonimowość. Moje działania tutaj, muszą na razie być mocno zawoalowane. Ach, nie przypuszczam, abyś przywiózł ze sobą jakieś obrazy?

Dan pokręcił przecząco głową. Przyglądał się plakatom. Jego oczy, przyzwyczaiwszy się do mroku w biurze, były teraz w stanie odróżnić zarys doskonale naszkicowanego stworzenia, przypominającego żyrafę z głową aligatora, górującego nad szkarłatną roślinnością. Następny plakat prezentował twarz podobną do piłki za biurkiem, z czerwonymi kółkami namalowanymi wokół oczu. Jeszcze kolejny przedstawiał widok żółtego wulkanu, plującego ogniem w czarne niebo.

— To niedobrze — Słowa zdawały się dolatywać spod biurka. Dan zmrużył oczy i przez chwilę przed oczyma stanął mu obraz zwiniętych

purpurowych macek. Przełknął ślinę i uniósł wzrok do góry, napotykając spoczywające na nim spojrzenie brązowego oka. Tylko jednego. Drugie zdawało się być mocno zaabsorbowane studiowaniem sufitu.

— Mam nadzieję — oznajmił głos, — że nie masz żadnych reakcyjnych uprzedzeń rasowych.

— **O** Jezu, nie — zapewnił oko Dan. — Szaleję wręcz za… eee…

— Vorplischerami — dokończył za niego głos. — Vorplisch, albo Wega, jak wy ją nazywacie. — Ponownie zabrzmiało szydercze prychnięcie. — Jak dawno już nie widziałem moich rodzinnych bagnisk! Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

— Coś mi się przypomniało — wtrącił Dan. — Teraz będę musiał już lecieć.

Zaczął chybcikiem przesuwać się w stronę drzwi.

— Poczekaj chwileczkę, Dan — zahuczał głos. — A co byś powiedział na coś do picia? Mogę ci zaproponować Chateau Neuf du Pape ’59, Romance Conte ’32, kozie mleko, pepsi…

— Nie, dziękuję.

— Jeśli ty nie masz na nic ochoty, to myślę że ja strzelę sobie Big Orange’a. — Vorplischer przekręcił się w stronę niewielkiej lodówki, wyciągnął z niej ogromną butlę z założonym smoczkiem i odwrócił się z powrotem do Dana. — A teraz, mam dla ciebie propozycję, która jak sądzę, mogłaby cię bardzo zainteresować. Strata Manny’ego i Fiorella, to poważny cios, ale możemy jeszcze uratować całą sytuację. Pojawiłeś się na scenie w najodpowiedniejszej chwili. Mam na myśli to, że jeśli te dwa klauny wypadły z obiegu, w mojej ekipie pojawił się wakat, który równie dobrze mógłbyś wypełnić i ty. Czy to by cię interesowało?

— Chcesz powiedzieć, że proponujesz mi przejęcie obsługi machiny czasu?

— Machina czasu? — Brązowe oczy rozbłysły niezależnie od siebie. — Obawiam się, że wyniknęło tu jakieś nieporozumienie. Nie do końca pojmuję znaczenie tego terminu.

— To coś — Dan machnął kciukiem w stronę klatki. — Maszyna, którą tutaj przybyłem. Chciałbyś, żebym ja…

— Machina czasu — powtórzył głos. — Czy to może jakiegoś rodzaju chronometr?

— Słucham?

— Szczycę się opanowaniem miejscowych idiomów, a jednak przyznaję, że to pojęcie mnie przerasta. — Dziewięciopalczasta dłoń rozłożyła się na biurku. — Wyjaśnij mi, Dan. Co to jest machina czasu?

— No cóż, to jest środek wykorzystywany do podróży w czasie.

Brązowe oczy zamrugały z podekscytowaniem.

— Najwidoczniej musiałem spaprać moje badania miejscowego tła cywilizacyjnego. Nie miałem pojęcia, że jesteście zdolni do tego rodzaju rzeczy. — Ogromna głowa odchyliła się do tyłu, szerokie usta otwierały i

zamykały pośpiesznie. — I pomyśleć, że zmarnowałem tyle czasu na zbieranie prymitywnej sztuki 2-D!

— Ale… ty nie dysponujesz machiną czasu? Chciałem powiedzieć, to nie jest właśnie ona?

— To? To jest zwykły transporter. A teraz opowiedz mi więcej o waszych machinach czasu. Fascynująca idea! Moi przełożeni będą zachwyceni tym odkryciem – i również zdumieni. Uważali tę planetę za zabitą dechami dziurę.

— Twoi przełożeni? — Dan zmierzył wzrokiem okno; zdecydowanie za daleko na skok. Może uda mu się dostać do machiny i spróbować ucieczki…

— Mam nadzieję, że nie myślisz o tym, żeby nagle opuścić to miejsce — oznajmiła piłka plażowa, podążając za wzrokiem Dana. Jeden z osiemnastu palców dotknął żółtego cylindra leżącego przed nim na biurku. — Dopóki transporter nie zostanie powtórnie zatankowany, obawiam się, że jest zupełnie bezużyteczny. Ale, żebyś miał obraz całej sytuacji, najlepiej będzie jeśli się przedstawię i wyjaśnię na czym polega moja misja tutaj. Nazywam się Blote, jestem Kupcem Czwartej Klasy, zatrudnionym przez Konfederację Wegańską. Moim zadaniem jest znalezienie nowych źródeł nowatorskich towarów dla nadania impulsu rynkom całego Drugiego Kwadrantu.

— Ale Manny i Fiorello przelecieli w tym przez ścianę! To, czym lecieli, to musiała być machina czasu. Nic innego nie mogłoby zmaterializować się w zupełnej pustce, ot tak sobie.

— Zdaje się, że masz jakąś fiksację na tle maszyn czasu, Dan — powiedział Blote. — Nie powinieneś zakładać, że tylko dlatego iż wy rozwinęliście możliwości podróży w czasie, wszyscy inni też tak zrobili. A teraz… — głos Blotego opadł do basowego szeptu. — Chciałbym dobić z tobą targu. Dostarcz mi niewielką machinę czasu, w dobrym stanie. A w zamian…

— Ja niby mam ci dostarczyć machinę czasu?

Blote wycelował w Dana krótki palec wskazujący:

— Z niechęcią o tym mówię, Dan, ale w chwili obecnej, jesteś raczej w kiepskiej pozycji do negocjacji. Nielegalne wtargnięcie, nielegalne przejęcie własności, szereg wykroczeń… niewątpliwie pewne problemy powstały też w samej rezydencji Snithiana. Ośmielam się twierdzić, że pan Kelly przygotowałby dla ciebie dosyć ciepłe przyjęcie. I, oczywiście, ja również raczej niechętnie przyjąłbym z twojej strony wszelkie próby ulotnienia się stąd.

Weganin naciągnął wszystkie osiemnaście palców, zabębnił mackami pod biurkiem, wykręcił niewinnie jedno oko do góry, podczas gdy drugim łypał na Dana.

— Tymczasem z drugiej strony — kontynuował basowy głos Blotego, — ty i ja mamy podstawę do niezłego interesiku. Ty dostarczysz mi machinę,

a ja w zamian zasypię cię stosem miejscowych środków. Chyba uczciwie, jak mi się wydaje. Co ty na to, Dan?

— Ech, pozwól mi pomyśleć — grał na zwłokę Dan. — Machina czasu. Machina czasu…

— Nie próbuj mnie wykiwać, Dan — złowieszczo zahuczał głos Blotego.

— Będę musiał zajrzeć do książki telefonicznej — zasugerował Dan.

Bez słowa Blote wyciągnął poznaczony oślimi uszami spis. Dan otworzył go.

— Czas, czas. Zobaczmy… — Rozbłysły mu oczy. — Czas, Spółka Akcyjna; biuro miejscowego oddziału. Maple Street, dwieście dwadzieścia jeden.

— Centrum sprzedaży? — dopytywał się Blote. — Czy kompleks wytwórczy?

— Obydwa — odparł Dan. — Zaraz tam popędzę i…

— To nie będzie konieczne, Dan — oznajmił Blote. — Będę ci towarzyszył.

Zabrał książkę telefoniczną i przyjrzał się jej.

— Niesłychane! Powszechny towar, otwarcie sprzedawany, i ja tego nie zauważyłem. Ale dojrzałe owoce może wydać zarówno małe drzewo, jak i duże. — Podszedł do swego biurka, pogrzebał w nim i wrócił z pełną garścią ogniw paliwowych. — No to, dalej, zdobądźmy tę machinę czasu.

Zajął miejsce w transporterze, poklepał szeroką dłonią fotel obok siebie.

— Chodź, Dan. Puszczamy interes w ruch.

Z wahaniem Dan podszedł do transportera. Bluff był całkiem niezły, aż do pewnej chwili – ale teraz właśnie znajdowali się gdzieś w okolicy tej chwili. Zajął swój fotel. Blote przesunął dźwignię. Dookoła wystrzeliła znajoma niebieska poświata.

— Dan, czy byłbyś taki uprzejmy i mną pokierował — zażądał Blote. — Maple Street dwieście dwadzieścia jeden, jak zdaje się mówiłeś.

— Nie znam zbyt dobrze tego miasteczka — odparł Dan, — ale Maple Street jest w tą stronę.

Blote zaczął przesuwać dźwignie. Transporter pomknął na dwór, w widmowe popołudniowe niebo. W dole rozpościerały się ledwie widoczne zarysy budynków, wyglądające jak wyblakłe negatywy. Dan rozejrzał się dokoła, odczytując litery na kwadratowej, pięciopiętrowej budowli.

— Tam — pokazał.

Blote pokierował maszyną, aby łagodnie obniżyła lot zmierzając w stronę płaskiego dachu wskazywanego przez Dana.

— Lepiej teraz przekaż mi stery — zasugerował Dan. — Chciałbym się upewnić, że lecimy w dobre miejsce.

— Doskonale, Dan.

Dan opuścił transporter przez dach, przeleciał w dół przez słabo widoczne biuro. Blote przekręcił niewielką gałkę. Sceneria wokół klatki rozmyła się jeszcze bardziej.

— Lepiej żeby nikt nas nie zauważył — wyjaśnił.

Klatka stale opadała. Dan wyjrzał na zewnątrz, w poszukiwaniu charakterystycznych znaków identyfikacyjnych. Wyrównał na poziomie drugiego piętra i zaczął podążać ledwie widocznym korytarzem. Oczy Blotego wykręcały się na wszystkie strony, obserwując małe izby wzdłuż obu ścian korytarza, jednocześnie.

— Ach, to musi byś sektor montażowy! — zawołał. — Widzę maszyny wykonujące konstrukcję z prętów, podobną do naszych transporterów.

— Zgadza się — powiedział Dan, przebijając wzrokiem mglistą poświatę. — To tutaj właśnie robi się machiny… — Nagle pociągnął za dźwignię; transporter skręcił ostro w lewo, przeniknął przez nieoznakowane drzwi i zatrzymał się. Obok klatki stały jakieś dwie zamglone postacie. Dan przerzucił przełącznik. Jeśli źle się domyślił…

Wszystko dokoła rozbłysło skwierczącymi iskrami, a następnie w mgnieniu oka odzyskało ostrość. Blote wygramolił się z klatki, jego brązowe oczy niemal zwirowały, omiatając spojrzeniem betonowe ściany, nieoznakowane drzwi i …

— Ty! — ryknął ochrypły głos.

— Łapać go! — wrzasnął ktoś inny.

Blote cofnął się młócąc wszystkimi ruchomymi członkami w nieudanej próbie powrotu do transportera, podczas gdy Manny i Fiorello zbliżali się do niego z dwu stron. Dan pociągnął za dźwignię. Kątem oka rzucił ostatnie spojrzenie na trzy walczące ze sobą, rozjaśnione niebieskim światłem sylwetki, podczas gdy transporter wystrzelił na zewnątrz przez ścianę pomieszczenia.

III

Dan z westchnieniem opadł z powrotem na fotel. Teraz, kiedy wyrwał się już na otwarty teren, musiał podjąć decyzję co do następnego ruchu – i to szybko. Nie było wiadomo, jakie jeszcze inne zasoby mógł mieć do dyspozycji Blote. Musiał gdzieś ukryć ten transporter, a potem…

Skądś doleciał niski warkot, zwiększając swój ton i głośność. Dan wyprostował się, zaalarmowany. Nie miał teraz czasu na usterki.

Dźwięk narastał coraz bardziej, zmieniając się w przenikliwe łkanie. Nie było śladu żadnych problemów mechanicznych. Transporter szybował dalej, unosząc się obecnie nad zamglonym krajobrazem drzew i domów. Dan zakrył sobie uszy, chroniąc się przed ogłuszającym wyciem, brzmiącym jakby syreny wszystkich wozów policyjnych z całego miasteczka ryczały na raz. Gdyby transporter stanął, z tego miejsca czekałby go długi upadek. Dan zaczął pracować sterami, opadając w stronę dalekiej ziemi.

Hałas zdawał się słabnąć, opadając jednocześnie w dół skali. Dan zwolnił, sprowadzając transporter na ziemię w narożniku rozległego parku. Opadł kilka ostatnich cali i pstryknął wyłącznikiem.

W miarę jak gasła poświata, syrena coraz bardziej cichła, aż w końcu zamilkła.

Dan zszedł z transportera i rozejrzał się dokoła. Cokolwiek spowodowało ten dźwięk, nie przyciągnął on najmniejszej uwagi ze strony sporadycznych przechodniów, spacerujących po parku. Może było to coś w rodzaju alarmu przeciwwłamaniowego. Ale jeśli tak, to dlaczego nie ujawnił się on wcześniej? Dan wziął głębszy oddech. Syrena, nie syrena, będzie musiał wrócić na transporter i przemieścić go w jakieś ustronne miejsce, gdzie mógłby w spokoju go przebadać. Wszedł z powrotem do klatki i sięgnął do sterów…

Poczuł nagły chłód w powietrzu. Czysta powierzchnia tarcz przed nim pokryła się szronem. Rozległo się głośne pop! jakby eksplodującej żarówki. Dan wpatrywał się ze swego siedzenia w opalizujący prostokąt, który zawisł koło transportera. Jego powierzchnia pokryła się zmarszczkami i zniknęła, zmieniając się w pustą przestrzeń. W wirze mroźnego powietrza przez prostokąt przeszła wysoka postać, ubrana w ściśle dopasowany do ciała biały uniform.

Dan gapił się z otwartymi ustami na jej niewielką okrągłą głowę, ciemnoskórą, długonosą twarz, długie, muskularne ręce, dłonie, których grzbiet pokryty były kępkami kręconych rudo-brązowych włosów, dziwne stopy o długich piętach, w miękkich butach. Schludne kepi, z niewielkim daszkiem spoczywało nisko, ponad głęboko osadzonymi żółtawymi oczyma, które spojrzały w jego stronę. Szerokie usta otworzyły się w uśmiechu, ukazując kwadratowe, żółtawe zęby.

— Alors, monsieur — oznajmił przybysz, zginając swoje kolana i plecy w szybkim ukłonie. — Vous ete une indigine, n’est ce pas?

— Nie compree — wykrztusił Dan. — Eee… że no parle Franse…

— Mój błąd. To sektor kolonialny Anglic, nieprawdaż? Głupiec ze mnie. Proszę mi pozwolić, że się przedstawię. Jestem Dzhackoon, Agent Polowy Klasy Piątej. Między-wymiarowa Służba Monitorująca.

— Ta syrena? — spytał Dan. — To pańska sprawka?

Dzhackoon skinął głową.

— Kiedy się tu pojawiłem, wydawało mi się że nie ma pan ochoty się zatrzymać. Cieszę się, że zdecydował się pan zachować rozsądek.

— Z jakiej mówił pan, że jest instytucji? — spytał Dan.

— Między-wymiarowa Służba Monitorująca.

— Między – co?

— Wymiarowa. To określenie jest oczywiście nieprecyzyjne, ale jest najlepszym jakie koder naszego języka potrafił dobrać, korzystając ze słownictwa w Anglicu.

— Czego pan ode mnie chce?

Dzhackoon uśmiechnął się z wyrzutem.

— Zna pan przecież karę za nieupoważnione wykorzystywanie pojazdów o odwróconej fazie na terenach objętych Interdyktem. Obawiam się, że będzie pan musiał udać się ze mną do Centrali.

— Chwileczkę! Chce pan powiedzieć, że mnie pan aresztuje?

— To bardzo ostre określenie, ale przypuszczam, że do tego się to właśnie sprowadza.

— Proszę posłuchać, panie hmm... Dzhackoon. Ja tylko przechodziłem sobie ulicą. Nic nie wiem o żadnych Interdyktach, czy też pojazdach o odwróconym czymś tam. Proszę po prostu pozwolić mi stąd odejść.

Dzhackoon pokręcił głową.

— Obawiam się, że będzie musiał pan to wszystko powiedzieć inspektorowi.

Uśmiechnął się przyjaźnie, wskazując gestem na lśniący prostokąt, przez który tu przybył. Z boku był on zupełnie niewidoczny. Wyglądał, pomyślał sobie Dan, jak dziura wycięta w rzeczywistości. Popatrzył na Dzhackoona. Jeśli szybko do niego doskoczy i uderzy lewym w głowę, a następnie poprawi prawym pod żebra...

— Oczywiście, jestem uzbrojony — przepraszająco oznajmił agent.

— No dobrze — westchnął Dan. — Ale idę wyłącznie pod przymusem.

— Proszę się nie denerwować — radośnie stwierdził Dzhackoon. — Tylko szybko przez niego przejść.

Dan podszedł do błyszczącej powierzchni. Zacisnął zęby, zamknął oczy i zrobił krok naprzód. Przez chwilę czuł piekące gorąco...

Natychmiast otworzył oczy. Znajdował się w długim, wąskim pomieszczeniu, o ścianach wykończonych jasnymi zielonymi płytkami. Z wysokiego sufitu lał się potok żółtego, gorącego światła. Wzdłuż ściany przygotowany był rząd kabin. Wszędzie wokół kręciło się energicznie mnóstwo wysokich stworzeń w białych mundurach. W pobliżu stała grupa niskich, niesamowicie potężnie zbudowanych osobników w żółci. W przeciwległej części pomieszczenia, Don dostrzegł również opierającą się o ścianę postać w czerwieni, o okrągłych ramionach i wielkim kłębowisku włosów, otaczających jasnoniebieską twarz. Ręka, nawet dłuższa niż Dzhackoona, wkładała wykałaczkę w rząd wielkich, białych kłów.

— Tędy — pokierował nim Dzhackoon.

Dan podążył za nim do kabiny. Przez cały czas podążały za nim ciekawe spojrzenia. Zza biurka patrzyło na niego jakieś stworzenie, kompletnie nie do odróżnienia od Agenta Polowego, poza bransoletami z czerwonej plecionki na obu nadgarstkach.

— Przyprowadziłem tutaj odpowiedzialnego za naruszenie odwróconej fazy, Ghunt — oznajmił Dzhackoon. — Sektor Anglic, Lokalizacja C922A4.

Ghunt wstał.

— Zobaczmy; Sektor Anglic... A, tak. — Wyciągnął rękę. Dan ostrożnie złapał go za dłoń; była dziwna – gorąca, sucha, o szorstkiej skórze, jak łapa psa. Uścisnął ją dwukrotnie i puścił.

— Cudownie ekspresyjne — stwierdził Ghunt. — Pusta dłoń, brak broni. Sugestia barbarzyństwa... — Z ciekawością zmierzył Dana wzrokiem.

— Nadzwyczajne. Oczywiście, studiowałem pańskie odgałęzienie, ale nigdy jeszcze nie miałem przyjemności fizycznego spotkania któregoś z was. Ta skóra, zadziwiające. Ach… czy mógłbym obejrzeć pańskie dłonie?

Dan wyciągnął rękę. Obcy obmacał kości jego palców, studiował dłonie, odwrócił do góry grzbietem, przyglądał się paznokciom. Podszedł krok bliżej i uważnie obejrzał oczy i włosy Dana.

— Czy byłby pan tak uprzejmy i otworzył usta?

Dan zastosował się do prośby. Ghunt cmoknął, oglądając zęby. Obszedł dana dookoła, mamrocząc swoje wyrazy zdziwienia.

— Echmm… przepraszam, że o to pytam — powiedział Dan, — ale czy tak właśnie… echmm… będą wyglądać ludzie w przyszłości?

— Słucham? — Okrągłe żółtawe oczka zamrugały, szerokie usta wykrzywiły się w uśmiechu. — Bardzo w to wątpię, mój drogi. — Zachichotał. — Wie pan, nie da się cofnąć pół miliona lat rozbieżnej ewolucji.

— **C**hce pan powiedzieć, że jesteście z przeszłości? — wychrypiał Dan.

— Przeszłości? Obawiam się, że nie nadążam za panem.

— Nie powie mi pan… że my wszyscy wyginiemy, a małpy przejmą pałeczkę? — wyrzucił z siebie Dan.

— Małpy? Chwileczkę. Słyszałem o nich. Jakiś rodzaj małych naczelnych, podobnych do miniaturowego Anthroposa. Macie je tam u siebie, co nie? Fascynujące! — Pokręcił z żalem głową. — Żałuję, że przepisy nie pozwalają mi złożyć wizyty w waszym sektorze.

— Ale jesteście podróżnikami w czasie? — upierał się Dan.

— Podróżnikami w czasie — Ghunt wybuchnął głośnym śmiechem.

— Szalona teoria — stwierdził Dzhackoon. — Przesąd.

— A więc, jak stąd przedostaliście się do parku?

— Prosty portal zogniskowany. To tylko kwestia elementarnej mechaniki pola napinającego.

— Zbyt wiele mi to nie powiedziało — odparł Dan. — Gdzie jestem? Kim wy jesteście?

— Już panu udzielamy wyjaśnień, oczywiście — powiedział Ghunt. — Proszę, tu jest krzesło. A teraz, o ile dobrze pamiętam, w pańskiej lokalizacji przetrwało tylko kilka gatunków Anthropos…

— Tylko jeden — sprecyzował Dzhackoon. — Ci ludzie wyglądają na słabowitych, ale naprawdę, bracie!

— Ach tak; już sobie przypominam. To była lokalizacja, w której bezgłosy wariant systematycznie wyeliminował inne rodzaje. — Zacmokał strofująco. — Nie uważacie, że żyjecie w samotności?

— Oczywiście, jest tam kilka dosyć ciekawych form opóźnionych — wtrącił Dzhackoon. — Praktycznie żywe skamienieliny; pod-inteligentne Anthroposy. Jeden z nich nazywa się goryl, inne to szympans, orangutan, gibon… i oczywiście całe spektrum form miniaturowych.

— Przypuszczam, że kiedy krwiożercza mutacja utrwaliła swoją supremację, inne wycofały się do mniej konkurencyjnych nisz

ekologicznych i rozprzestrzeniły się na tym poziomie — snuł domysły Ghunt. — Szkoda. Zakładam, że goryle i inne są formami zdegenerowanymi?

— Prawdopodobnie.

— Proszę mi wybaczyć — oznajmił Dan. — Ale co z tymi wyjaśnieniami…

— Och, przepraszam. No cóż, zacznijmy od tego, że ja i Dzhackoon jesteśmy… hmm… Australopitekami, zdaje się że takie określenie u was obowiązuje. Jesteśmy jednym z wielu rodzajów Anthroposów, zamieszkujących swoje normalne lokalizacje. Ci robotnicy w żółci, których pewnie pan zauważył, są pokrewni waszym wymarłym Neandertalczykom. Są też pochodni Pekina – ci goście o niebieskich twarzach – i Rodezyjczycy…

— Co to za lokalizacje, o których przez cały czas mówicie? I jakim cudem ludzie jaskiniowi nadal mogą nadal żyć?

Wzrok Ghunta powędrował gdzieś obok Dana. Poderwał się na nogi.

— Ach, dzień dobry, panie inspektorze!

Dan odwrócił się do tyłu. Posiwiały Australopitek ze splątanym czerwonym warkoczem na kołnierzyku i mankietach wpatrywał się w niego ponuro.

— Harrumph! — oznajmił inspektor. — Albinizm i wypadanie owłosienia. To nie jest zaraźliwe, mam nadzieję?

— Defekt genetyczny, wasza ekscelencjo — wyjaśnił Dzhackoon. — To jest Homo Sapiens, naturalnie łysa forma z dosyć osobliwej lokalizacji.

— Sapiens? Sapiens? Zdaje się, że coś mi świta. — Starzec łypnął na Dana. — Chyba to nie jest… — Palce drgnęły mu w instynktownym wszechogarniającym impulsie przypomnienia. Nagle zesztywniał. — Przecież to jest jeden z tych bratobójczych dewiantów! — Cofnął się. — Powinien być pod strażą! Ghunt! Konstablu! Natychmiast wezwać tu oddział strażników! To stworzenie jest niebezpieczne!

— **P**anie inspektorze. Jestem pewien… — zaczął mówić Ghunt.

— To jest rozkaz — warknął inspektor. Przeszedł na jakiś niezrozumiały język, wykrzykując kolejne polecenia. W kabinie pojawiło się kilku napakowanych Neandertalczyków, sięgających Danowi wzrostem do ramienia. Rozglądali się dookoła pozbawionymi podbródków, szerokoustymi, brązowymi twarzami, z dziwnie niepasującymi do reszty błękitnymi oczyma, i rzadkimi jasnymi włosami.

— Co to wszystko ma znaczyć! — zaczął się dopominać Dan. — Żądam adwokata!

— Zapomnij o tym! — wrzasnął inspektor. — Wiem jak postępować z mącicielami twojego rodzaju! — Wpatrywał się z niesmakiem w Dana. — — Bezwłosy! Blady jak trup! Odrażający! Planujesz kolejne akty wandalizmu, co? Przygotowujesz się do przeniesienia w cywilizowane lokalizacje, żeby zniszczyć konkurencyjne formy życia, czy może nie?

— To ja go tu przeniosłem, panie inspektorze — wtrącił się Dzhackoon. — To było rutynowe naruszenie przepisów ruchu drogowego.

— Tutaj ja decyduję, co jest rutynowe! Posłuchaj, Sapiens! Jaki diabelski plan wyciągniesz teraz z rękawa, co!?

— Daniel Slane, cywil, numer ubezpieczenia społecznego 456-7329-988 — odparł Dan.

— Co?

— Nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny — wyjaśnił Dan. — Nie odpowiem na żadne inne pytania.

— To oznacza karne przeniesienie, Sapiens! Bezprawne oddalenie się z własnej lokalizacji, rozmyślne stawianie oporu organom prawa…

— Zapomniałeś o urodzeniu się bez pozwolenia i nieautoryzowanym oddychaniu.

— Bezczelność! — warknął inspektor. — Ostrzegam cię, Sapiens, że w mojej mocy są rzeczy, które skończą się dla ciebie opłakanymi skutkami. A teraz, jak zmusiłeś agenta Dzhackoona, aby cię tutaj przeniósł?

— No cóż, pojawiła się dobra wróżka i dała mi trzy życzenia do wyboru…

— Zabierzcie go! — wyskrzeczał inspektor. — Sektor 97; niezamieszkała lokalizacja.

— Niezamieszkała? To wydaje się trochę ekstremalne, nieprawdaż? — skomentował jeden ze strażników, marszcząc swój potężny łuk brwiowy.

— Niezamieszkała! Jeśli tak cię to martwi, może uda mi się załatwić, żebyś tam do niego dołączył!

Neandertalski strażnik ziewnął szeroko, pokazując białe zęby. Skinął głową na Dana, poganiając go do przodu.

— Nie przejmuj się Spoghodo — powiedział głośno. — Starzeje się.

— Przepraszam pana za to wszystko — wyszeptał jakiś głos koło ucha Dana. Dzhackoon, albo Ghunt – nie wiedział który to z nich – nachylił się do niego. — Obawiam się, że teraz będzie pan musiał udać się do obszaru karnego, ale później postaram się to wszystko wyprostować.

Strażnicy Dana odeskortowali go ponownie przez zatłoczony hol, koło kabin gdzie zajęci agenci MWSM meldowali się u znękanych przełożonych, a następnie przez bramę do pomieszczenia z rzędami wąskich szarych szafek. Wyglądało jak szatnia przy sali gimnastycznej.

— Dziewięćdziesiąt siedem — powiedział strażnik.

Podszedł do tablicy naściennej, przez chwilę studiował drobne pismo przy pomocy krótkiego, kudłatego palucha, a następnie ustawił tarczę na ścianie.

— No to, lecimy — powiedział.

Nacisnął przycisk obok jednej ze szafek. Jej powierzchnia zamgliła się i zaczęła opalizować.

— Po prostu przejdź szybko. Szczęśliwego lądowania.

— Dzięki — Dan schylił głowę i w podmuchu mroźnego powietrza przepchnął się przez otwór.

Stał na stromym górskim stoku, patrząc w dół ponad porośniętymi trawą łąkami, na rozciągającą się daleko w dole równinę. Widać było na niej kępy drzew i rzekę. W oddali, wśród krzewów pasło się stado jakichś zwierząt. Dnem doliny nie wiodła żadna droga; na rzece nie było widać śladu łodzi; w jej zakolu nie przycupnęła żadna wioska. Odległe wzgórza były dziewicze, nie skażone ścieżkami, płotami, domami, prostokątami ornych pól. Szerokiego, błękitnego nieba nie znaczyły smugi kondensacyjne. Nawet przelotnego śladu zapachu spalin, terkotania silników, metalowych puszek, plastikowych butelek…

W skrócie mówiąc, brak ludzi.

Dan odwrócił się do tyłu. Portal ciągle lekko połyskiwał w przejrzystym powietrzu. Przełożył przez niego głowę i stwierdził, że patrzy na pomieszczenie szatni. Ubrany na żółto Neandertalczyk, przyglądał mu się.

— Posłuchaj — powiedział Dan, ignorując wrażenie gorącego druta, owijającego mu szyję, — czy nie moglibyśmy jeszcze raz tego przedyskutować?

— Lepiej wyjmij z tego głowę, zanim się wyłączy — radośnie oznajmił strażnik. — W przeciwnym razie – ciach!

— A może jakieś materiały na piśmie? I posłuchaj, mam bardzo wrażliwą głowę. Łatwo się przeziębiam. Czy temperatura nie spada tutaj w nocy? Jakieś niebezpieczne zwierzęta? Co mam jeść?

— Tu coś mam — strażnik sięgnął do skrzynki, wyciągając cały plik broszur. — One są przeznaczone dla gości, którzy są przenoszeni bez uprzedzenia. Wiesz, ci biedacy, którym przytrafiło się za dużo zobaczyć; ale dam ci jedną. Popatrzmy… Anglic, Anglic…

Wybrał jedną z broszur i podał ją Danowi.

— Dzięki.

— Lepiej już idź.

Dan cofnął głowę. Usiadł na trawie i zaczął przeglądać książeczkę. Była elegancko wydrukowana w jaskrawych kolorach. WITAMY W CENTRUM RELOKACJI NR 23, brzmiał tytuł na okładce. Pod nim widniała fotografia grupy dosyć ponuro wyglądających stworzeń, różniących się wzrostem i stopniem owłosienia, mających na głowach papierowe czapeczki. Podpis pod nią głosił: „Zaprasza się nowoprzybyłych do aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym. Witaj Przybyszu!”

Dan otworzył broszurę. Na zdjęciu widać było scenerię identyczną do roztaczającej się przed nim, z tym że zamiast łąki widniał na nim spłacheć niemal parkowego trawnika, poznaczony z rzadka porozrzucanymi budynkami o długich gankach, ze stojącymi na nich bujanymi fotelami. Pod rozłożystymi drzewami porozstawiane były stoły piknikowe, a za nimi, na rzece pełno było jachtów, kanadyjek i łodzi wiosłowych.

„Życie w naszej społeczności to wielka zabawa!” — przeczytał Dan. — „Bądź aktywny! Zuchenki, zuchy, harcerki, harcerze, żeglarze, speleolodzy, kółka zainteresowań, masoneria, rotarianie, dianetyka – wymień cokolwiek chcesz! Znajdzie się grupa dla każdego, i każdy może być w grupie!

Lekcje konwersacji w językach urdu, jidysz, gaelickim, fundu, itd. Nauka wiązania węzłów, robienia na drutach, kaletnictwa, greckich tańców, malowania paznokci i wiele, wiele innych!

Amatorski teatr!

Pokazy tańców indiańskich!

Dyskusje przy okrągłym stole!

Turnieje miast!”

Dan przewracał kartki, przedzierając się przez strony pełne emfatycznych wiadomości, zatrzymując się na dwustronnej rozkładówce, zatytułowanej: „Kilka informacji co wolno, a co nie”.

„* Wszyscy chcemy UDANEJ relokacji. A więc – pamiętaj o Uranowej Regule: Nie rób tego! Inny człowiek może być silniejszy!

* Pamiętaj o tabu innych ludzi!

To co dla ciebie może być tylko wesołym piknikiem, albo rozmnażaniem pszczółek, dla innych może stać się obraźliwe. To, co niektórzy zwykli robić w grupach, inni mogą uważać za coś intymnego, co powinno odbywać się w samotności. Większość tabu związanych jest z jedzeniem, seksem, wydalaniem, albo religią; pamiętaj więc, aby uważać zanim usiądziesz, położysz się, przykucniesz lub przyklękniesz!

* Panie z brodą proszone są o zapamiętanie:

Przyjaciel lub mąż może być w ekipie przepychającej zapchane rury – a więc uważajcie na swoje zguby w łazienkach, co dziewczyny? A wy, panowie, również! Pewnie, dobre szczotkowanie to fajna rzecz, ale szczotkujcie się nawzajem na dworze, dobrze?

* UWAGA. Pojawiły się pewne starania o oddzielne, ale równoważne udogodnienia. Ale zapytajcie uczciwie samych siebie, ludzie, czy to byłoby w duchu Centrum Nr 23? Użytkownicy płci męskiej i żeńskiej będą nadal używać tych samych toalet, jak zawsze. Nie będzie się tolerować żadnego szowinizmu płciowego.

* Słowo do dzieciaków!

Na obszarze Centrum Społecznego nie wolno się poruszać, przerzucając się na rękach z gałęzi na gałąź. Pomimo wszystko będzie gdzieś tutaj spało wielu Tatusiów. Jest całe mnóstwo drzew gdzie indziej!

* Delikatność popłaca!

W tych dniach bardziej aktywnych niż kiedykolwiek wcześniej, nasze Osobiste Wyziewy mogą zacząć wydzielać się z naszych ciał, zanim nawet sami się zorientujemy. A te intymne zapachy mogą nie być aż tak satysfakcjonujące dla innych jak dla nas samych! A więc pamiętajcie, ludzie: uważajcie na O.W.! (Mydło ługowe, woda kolońska, proszek na pchły i inne upiększacze, dostępne są w baraku z zapasami!)”.

Dan odrzucił książkę na bok. Były gorsze rzeczy niż samotność. Ten świat wyglądał na całkiem sympatycznie – i należał do niego.

Cały kontynent północnoamerykański, cała Ameryka Południowa, Europa, Azja, Afryka – wszystko. Mógł ściąć parę drzew, zbudować chatę, umeblować ją. Trzeba będzie polować – mógł zrobić łuk i strzały – a skóry

posłużą do sporządzenia ubrań. Mógł założyć małą farmę, łowić ryby w strumieniach, opalać się na słońcu – robić wszystkie te rzeczy, na które nie miał czasu w domu. Nie byłoby tak źle. A przecież w końcu Dzhackoon załatwi jego zwolnienie. To mogłoby być coś w rodzaju wakacji…

— Ach Dan, mój chłopcze! — zahuczał basowy głos. Dan poderwał się i zawirował w powietrzu.

Z portalu wyglądała na niego ogromna twarz Blotego. Pod jednym z jego oczu widniał duży, zielony siniak. Blote pogroził mu z wyrzutem palcem.

— To był paskudny numer, Dan. Przykro mi to stwierdzić, ale moi dawni pracownicy byli trochę niezadowoleni. Ale teraz lepiej już się stąd wynośmy. Nie ma czasu do stracenia.

— Skąd się tu wziąłeś? — dopytywał się Dan.

— Użyłem kieszonkowego sygnalizatora, żeby przywołać swój transporter – i zrobiłem to naprawdę w ostatniej chwili. — Ostrożnie obmacał podbite oko. — Jeden rzut oka na przyrządy powiedział mi, że odwiedziłeś park. Udałem się tam za tobą i zobaczyłem portal MWSM. Byłem w trochę rozemocjonowanym nastroju, no i oczywiście martwiłem się o twoje zdrowie, a więc przeszedłem przez niego…

— Dlaczego cię nie aresztowali? Mnie złapali za korzystanie z transportera.

— Mieli tego rodzaju pomysły. Obłoczek gazu ogłuszającego wystarczył do tego, aby ich zniechęcić. A teraz, szybko chodź tu do mnie, zanim obsługa ożyje.

— Chwileczkę, Blote. Nie jestem pewien, czy chcę zostać uratowany przez ciebie – pomimo całej twej troski o moje zdrowie.

— Bzdury, Dan! No, chodź. — Blote rozejrzał się dokoła. — Straszne miejsce. Nie ma ludzi! Nie ma handlu! Nie ma interesów!

— Ma swoje dobre strony. Chyba zostanę. Możesz spadać.

— Zostawić kolegę? Nigdy!

— Jeśli ciągle się spodziewasz, że dostarczę ci machinę czasu, to masz pecha. Nie mam czegoś takiego.

— Nie? Ach, cóż, w pewnym sensie poczułem ulgę. Takie urządzenie naruszałoby powszechnie akceptowane teorie fizyczne. Dan, nie chciałbym, żebyś uważał, że kierują mną najniższe pobudki – jednak sądzę, że nasz związek ciągle jeszcze może okazać się bardzo owocny.

Dan potarł palcem dolną wargę w zamyśleniu.

— Posłuchaj, Blote. Potrzebujesz mojej pomocy. Być może jednocześnie i ty będziesz w stanie pomóc także mnie. Jeżeli uciekniemy razem, chciałbym żebyś zrozumiał, że pracujemy razem. Mam pewien pomysł…

— Ależ, oczywiście, Dan! A teraz ruszaj się!

Dan westchnął i przeszedł przez portal. Ubrany na żółto strażnik leżał na podłodze, potężnie chrapiąc. Blote poprowadził ich z powrotem przez wielki hol. Oficjele MWSM walali się po całej posadzce, albo na wpół leżeli bezwładnie na krzesłach. Blote podszedł do jednego w rzędzie błyszczących portali.

— Ty pierwszy, Dan.

— Pewien jesteś, że to właściwy?
— Absolutnie.
Dan przeszedł przez znajomy już mroźny portal i znalazł się z powrotem w parku. Niewielki piesek, obwąchujący transporter, spostrzegł Blotego, opuścił nogę i uciekł.
— Chcę złożyć wizytę panu Snithianowi — powiedział Dan, sadowiąc się w fotelu.
— Mam dokładnie ten sam zamiar — zgodził się Blote, opuszczając na miejsce swoje wielkie ciało.
— Nie chciałbym tylko, abyś sobie pomyślał, że pomogę ci cokolwiek ukraść.
— Dan! Bardzo nieuprzejma uwaga. Ja tylko chcę dopilnować pewnych spraw.
— Tylko tak, żebyś nie zaczął grzebać po sejfie.
Blote prychnął i pchnął dźwignię. Transporter wzbił się w powietrze ponad rząd niebieskich drzew i skierował się na zachód.

IV

Blote doprowadził transporter na dużej wysokości nad posiadłość Snithiana, obniżył lot i delikatnie przeszedł przez dach. Na najwyższym piętrze bladzi, widmowi służący krzątali się wokół swoich obowiązków, nie zauważając nawet, równie dla nich widmowej klatki, przemieszczającej się bezgłośnie między nimi.
W jadalni Dan dostrzegł dziewczynę – może była to córka Snithiana – ustawiającą cieniste kwiaty na kredensie.
— Pozwól, że ja to zrobię — wyszeptał Dan.
Blote skinął głową. Dan posterował transporterem do kuchni, ustawił go w miejscu, w którym po raz pierwszy wyłonił się ze skarbca, a następnie skierował go w dół, przez podłogę. W deszczu iskier oraz niebieskiego światła, zatrzymał transporter i ustawił wszystkie przełączniki w neutralnych pozycjach.
Drzwi skarbca stały otworem. Teraz obrazy zwalone były na stos na leżance, stały poopierane o ściany, walały się na podłodze. Dan wysiadł z transportera, podszedł do najbliższej sterty obrazów. Wydawało się, że zostały porozrzucane w pośpiechu. Nie były nawet opakowane. Przyjrzał się leżącym na wierzchu płótnom, ciągle były w ciężkich ramach; jak gdyby, zastanowił się, dopiero co zostały zdjęte ze ściany w jakiejś galerii…
— Rozejrzyjmy się za Snithianem — zaproponował Dan. — Chciałbym z nim porozmawiać.
— Sugeruję, żebyśmy przeszukali górne piętra, Dan. Niewątpliwie tam jest jego osobiste mieszkanie.

— Ty użyj transportera. Ja pójdę na górę piechotą i przeszukam po drodze dom.

— Jak sobie życzysz, Dan — Blote i transporter zamigotali i znikli.

Dan schylił się, podniósł pistolet, który upuścił w trakcie bójki z Fiorello, i wyszedł ze skarbca do holu. Wszędzie panowała głucha cisza. Wszedł po schodach, zaczął zaglądać do pokoi. Dom wydawał się być opustoszały. Na drugim piętrze również ruszył korytarzem, sprawdzając kolejne pokoje. W ostatnim z nich, po zachodniej stronie, urządzona była pracownia. Na stole koło drzwi ułożony był stos obrazów. Dan podszedł do nich i zaczął przyglądać się leżącemu na wierzchu.

Wyglądał znajomo. Czy nie o tym obrazie czytał w Look, że znajdował się w Art Institute w Chicago?

Usłyszał skrzypnięcie nienasmarowanego zawiasu. Dan obrócił się na pięcie. Drzwi na przeciwległej ścianie pokoju stały otworem – drzwi prowadzące prawdopodobnie do sypialni.

— Znalazł się pan bardzo daleko od swojego transportera, panie Slane — z cienia za drzwiami odezwał się wysoki, cienki głos. W. Clyde Snithian wyszedł na środek, trzymając w ręku pistolet z lufą w kształcie igły.

— Tak myślałem, że pan wróci — wyćwierkał. — To bardzo upraszcza wiele spraw. Gdyby nie pojawił się pan tu dostatecznie szybko, musiałbym opuścić teatr moich operacji. To byłoby kłopotliwe.

Dan zmierzył okiem pistolet.

— Tam na dole jest znacznie więcej obrazów, niż było, kiedy stąd uciekałem — zauważył. — Nie znam się za bardzo na sztuce, ale parę z nich rozpoznałem.

— Kopie — warknął Snithian.

— To nie jest kopia — Dan postukał palcem w obraz leżący na wierzchu stosu. — To oryginał. Można wyczuć pociągnięcia pędzlem.

— Oczywiście, to nie są reprodukcje. Kopie — zarżał śmiechem Snithian. — Dokładne kopie.

— Te obrazy są skradzione, panie Snithian. Czemu tak bogaty człowiek jak pan, kradnie dzieła sztuki?

— Nie jestem tu po to, aby odpowiadać na pańskie pytania, panie Slane! — Lufa trzymanej przez Snithiana broni spuchła. Przez ciało Dana przebiegła fala bólu. Snithian zarechotał, opuszczając pistolet. — Szybko się pan nauczy lepszych manier.

Dłoń Dana powędrowała do kieszeni, wynurzając się z niej z automatem. Wycelował go w twarz Snithiana. Przemysłowiec zamarł, z oczyma utkwionymi w broni Dana.

— Rzuć pistolet. — Broń Snithiana zaklekotała o podłogę. — A teraz chodźmy poszukać Kelly’ego.

— Niech pan czeka — zapiszczał Snithian. — Slane, mogę pana uczynić bogatym człowiekiem.

— Nie dzięki kradzieży obrazów.

— Nie rozumie pan. To nie jest jakaś tam drobna kradzież.

— Zgadza się. To jest wielka kradzież. Te obrazy są warte tysiące.

— Mogę panu pokazać rzeczy, które kompletnie zmienią pańskie nastawienie. W rzeczywistości, działałem w najlepiej pojętym interesie ludzkości!

Dan kiwnął pistoletem.

— Niech pan nie próbuje niczego sprytnego. Nie jestem zbyt obyty z bronią. Ta rzecz jeszcze wystrzeli w najmniej oczekiwanym momencie i będę musiał się tłumaczyć z morderstwa.

— To byłoby niewybaczalnym błędem z pana strony! — wyskrzeczał Snithian. — Jestem bardzo ważną osobą, Slane.

Podszedł po głębokim dywanie do szafki ze szklanymi drzwiami.

— Tutaj — powiedział wyjmując z niej płaskie, czarne pudełko — w środku, jest fortuna w kamieniach szlachetnych.

Uniósł przykrywko. Dan podszedł bliżej. W bawełnianej otulinie spoczywał rząd jaskrawo czerwonych klejnotów.

— Rubiny?

— Bez skazy – i doskonale dobrane. — Snithian zarżał śmiechem. — Idealnie dobrane. Warte fortunę. Będą pańskie, jeśli będzie pan współpracował.

— Mówił pan, że zmieni pan moje nastawienie. Lepiej niech pan zacznie.

— **N**iech mnie pan posłucha, Slane. Nie działam niezależnie. Pracuję dla Ivroya, którego potęga jest wręcz niezmierzona. Moim zadaniem było uratowanie przed zniszczeniem dzieł sztuki nie do zastąpienia, skazanych na pożarcie przez atomowy ogień.

— Co pan rozumie przez – skazanych?

— Ivroy wie takie rzeczy. Te obrazy – cała wasza sztuka – są unikalne w skali galaktyki. Inni podziwiają je, ale nie potrafią ich naśladować. W kosmosie dalekiej przyszłości, tych parę skarbów, które przetrwały z czasów zarania cywilizacji, nabierze wartości przekraczającej wszelkie inne bogactwa. Tylko one dawać będą nowe spojrzenie na wszechświat, tak jak on wyglądał w oczach waszej dziwnej rasy, w czasach jej świetności.

— Mojej dziwnej rasy?

Snithian zebrał się w sobie.

— Ja nie należę do pańskiej rasy.

Odrzucił swój płaszcz na bok i wyprostował się.

Dan gapił się na odsłonięte ciało Snithiana, nabierające coraz większego wzrostu, długie, z wyrastającymi z boku wyginającymi się dziwnie ramionami o trzech stawach. Łysa głowa nachylała się teraz ku niemu spod belek sufitu. Snithian ostro zachichotał.

— I co teraz, z tym pańskim mało elastycznym nastawieniem, panie Slane? — wyćwierkał. — Chyba zdobyłem swój punkt?

— Tak, ale… — wychrypiał Dan. Odchrząknął i spróbował ponownie: — Ale to ciągle ja mam broń.

— Och, to. — Ośmiostopowe ramię wykręciło się znienacka i wytrąciło mu broń z ręki. — Tylko grałem z panem na zwłokę, ponieważ może pan być dla mnie użyteczny, panie Slane. Nie lubię biegać tu i tam, dlatego wolę zatrudniać miejscowych, żeby zajmowali się tą całą bieganiną za mnie. Proszę przyjąć moją ofertę pracy, a zostanie pan sowicie nagrodzony.

— Dlaczego ja?

— Wie pan już, że tu jestem. Jeśli zdołam kupić pańską lojalność, nie będzie potrzeby pozbywania się pana, z tymi wszystkimi węszącymi policjantami, pańskimi znajomymi i wścibskimi poszukiwaczami sensacji. Chciałbym, aby działał pan jako mój agent przy pozyskiwaniu dzieł sztuki.

— Chyba pan oszalał! — odparł Dan. — Nie mam zamiaru pomagać jakiejś bandzie chuliganów w dokonywaniu włamań.

— To jest dla Ivroya, ty głupcze! — stwierdził Snithian. — Największej potęgi w kosmosie!

— Ten Ivroy, dla mnie nie brzmi aż tak ekscytująco – rabowanie galerii sztuki…

— Dorosłość wymaga odrzucenia iluzji. Liczy się tylko rzeczywistość. Ale, to nieważne. Pozostaje pytanie: Czy będzie pan mi lojalnie służył?

— Do diabła, nie! — ostro rzucił Dan.

— To niedobrze. Widzę, że jest pan pewien swoich słów. Należało się tego spodziewać, jak myślę. Nawet młode ognistego kota ma kły.

— Ma pan cholerną rację. Wiem, co powiedziałem. Jak pan wciągnął Manny'ego i Fiorello na swoją listę płac? Jestem zaskoczony, że nawet ta para szumowin zgodziła się pracować dla takiego ścierwojada, jak pan.

— Przypuszczam, że mówi pan o tej wspaniałej dwójce zrekrutowanej przez Blotego. Obawiam się, że to była pomyłka. Chociaż w swoim czasie wydawało się to całkiem rozsądne. Proszę mi powiedzieć, jak pan pokonał Wegan? To bardzo zdolna rasa, oględnie mówiąc.

— Pan i on pracujecie razem, co? — powiedział Dan. — To wyjaśnia pewne rzeczy. To jest stacja magazynowa, a Blote jest jej osłoną.

— Starczy tych pańskich spekulacji. Nie pozostawia mi pan wyboru, muszę się pana pozbyć. To kłopot, ale nic na to nie poradzę. Obawiam się, że będę musiał pana prosić o udanie się ze mną do skarbca.

Dan zmierzył wzrokiem drzwi. Jeśli miał się stąd wyrwać, to była już najwyższa chwila…

Nagle rozległ się jęk transportera.

Widmowa klatka prześlizgnęła się przez ścianę i łagodnie opadła między Danem i Snithianem. Poświata zgasła.

Blote pomachał radośnie Danowi i uniósł swe groteskowe cielsko z fotela.

— Dzień dobry, Snithian! — zahuczał Blote. — Widzę, że już poznałeś Dana. Przedsiębiorczy człowiek.

— Co cię tu sprowadza, Gom Blote? — zapiszczał Snithian. — Myślałem, że do tej pory pokonałeś już spory kawałek drogi w stronę Vorplisch.

— Kusiło mnie to, Snithian. Ale ja nie poddaję się tak łatwo. Pozostała kwestia pewnych niedokończonych interesów.

— Doskonale! — wykrzyknął Snithian. — Do jutra będę miał gotową dla ciebie kolejną partię do wysyłki.

— Jutro? Jak to możliwe skoro Manny i Fiorello siedzą w ciupie? — Blote rozejrzał się dokoła; jego wzrok padł na leżące na stercie obrazy. Podszedł do nich, wziął jeden z nich, popatrzył na następny, a potem pośpiesznie zaczął przeglądać cały stos. Odwrócił się do tyłu.

— Co to za oszustwo, Snithian? — zahuczał. — Wszystkie są identyczne! Nasze porozumienie pozwalało na ograniczone edycje, a nie na masową produkcję! Moi pryncypałowie wpadną w furię! Moja reputacja…

— Do diabła z twoją reputacją! — zaripostował Snithian. — W tej chwili mam znacznie poważniejsze problemy! Narażone zostało całe moje przedsięwzięcie. Stoję przed koniecznością pozbycia się tego skończonego głupca!

— Dana? Niestety, obawiam się, że nie mogę na to pozwolić, Snithian. — Blote podszedł do transportera i wrzucił naręcze skopiowanych obrazów do klatki. — Dowody — powiedział. — Konfederacja ma metody na rozwiązywanie spraw związanych z oszustwami. Chodźmy, Dan, jeśli jesteś gotów…

— Ośmielasz się stawać przeciwko mnie? — wysyczał Snithian. — Mnie, który pracuje dla Ivroya?

Blote machnął ręką w stronę transportera.

— Wsiadaj, Dan. Będziemy się stąd zabierać. — Przekręcił obydwoje oczu, aby skierować je na Snithiana. — A tobą, zajmę się później — zahuczał. — Nikt nie będzie sobie pogrywał z Gomem Blote, Kupcem Czwartej Klasy – ani z Federacją Wegańską.

Snithian poruszył się raptownie, wyrzucając pajęczą rękę aby pochwycić broń, którą wcześniej upuścił, wycelował i nacisnął spust. Dan w powodzi bólu poczuł, że składają się pod nim kolana. Upadł bezwładnie na podłogę. Obok niego leżał Blote, z obwisłymi mackami.

— Myślałem, że masz więcej rozumu w głowie — zarechotał Snithian. — Teraz będę miał dodatkową tonę protoplazmy do pozbycia się. Twój transporter bardzo mi się do tego przyda.

V

Dan poczuł znajomy mroźny podmuch powietrza. Pojawił się portal. W obłoku lodowatej mgły wyszła z niego szczupła postać.

Obcisły mundur zniknął. W jego miejsce chudy Australopitek założył mocno opięte dżinsy i luźną bluzę. Małą, okrągłą głowę wieńczył ogromny beret. Żółtawe oczy kryły się pod wielkimi czarnymi okularami, a na gołych, długopalcych stopach klapały sandały. Dzhackoon machnął w stronę całej grupy długą cygarniczką.

— Ach, szczęście się do mnie uśmiechnęło! Jak miło widzieć wszystkich państwa razem zebranych. Myślałem, że będę musiał przeprowadzić intensywne poszukiwania w obrębie całej lokalizacji. Stąd to miejscowe przebranie. A jednak… — Wzrok Dzhackoona padł na Snithiana, stojącego sztywno z boku, z bronią schowaną za siebie.

— Pan chyba należy do rasy, której nie znam — stwierdził Dzhackoon. — Mimo tego, zakładam, że jest panu znany Interdykt rozciągający się na wszystkie lokalizacje zamieszkałe przez antropoidów.

— A kim pan u licha jest? — wyniośle spytał Snithian.

— Jestem agentem polowym Między-Wymiarowej Służby Monitorującej.

— Ach, tak. No cóż, wasz Interdykt nic dla mnie nie znaczy. Działam bezpośrednio pod auspicjami Ivroya. — Snithian dotknął błyszczącej szpilki na swoim szarym płaszczu.

Dzhackoon westchnął.

— Chodzi o stary nakaz aresztowania.

— On jest bandytą! — wtrącił się Dan. — Okrada galerie sztuki!

— Spokojnie, Dan — wymamrotał Blote. — Nie powinieneś odsłaniać wszystkich kart.

Agent odwrócił się, żeby popatrzeć na Kupca.

— Weganin, nieprawdaż? Myślę, że jest pan tym, którego szukałem.

— Kto, ja? — zahuczał basowy głos. — Proszę posłuchać, panie oficerze, ja jestem kochającym dom, rodzinnym człowiekiem, który tylko sobie tędy przechodził. Prawdę mówiąc…

Istota z MWSM skinęła głową w stronę obrazów na transporterze.

— Jak widzę, zebrał pan sobie parę pamiątek.

— To dla żon i dzieciaków. Niewielkie upominki, tak żeby sprawić trochę radości dla roju.

— Karą za eksploatację przed-cywilizacyjnego, społeczeństwa antropoidalnego jest umieszczenie w stazie na czas nie przekraczający jednego cyklu reprodukcyjnego. O ile sobie przypominam moją wiedzę z wegańskiej biologii, to całkiem długi okres.

— Ależ panie oficerze, z pewnością nie będzie pan ścigał takiej przyzwoitej, przestrzegającej prawa istoty, jak ja? Przecież ja straciłem jedną z macek walcząc w obronie pokoju… — Mówiąc to wszystko, Blote stopniowo przesuwał się w stronę transportera.

— … swoje nazwisko, mój drogi przyjacielu — kontynuował przemowę. — Wspomnę o pańskiej osobie, panu komisarzowi, który jest moim bliskim przyjacielem. — Raptownie Weganin sięgnął do dźwigni…

Długie ręce Australopiteka wyprostowały się i bez wysiłku odciągnęły go do tyłu.

— To było bardzo nierozsądne, proszę pana. Teraz będę zmuszony do rekomendowania w stosunku do pana, podprogowej reorientacji w trakcie stazy. — Zapiął wokół grubych nadgarstków Blotego mocne kajdanki.

— Ech, wy Weganie — powiedział energicznie otrzepując dłonie. — Czy wy się nigdy nie nauczycie?

— **N**iech pan posłucha, panie oficerze — powiedział Blote. — Działa pan zbyt pochopnie. W rzeczywistości, działam w interesie tej małej planety, co z chęcią potwierdzi mój towarzysz, Dan. Posiadam informacje, które mogłyby pana bardzo zainteresować. Snithian oznajmił mi, że pracuje dla Ivroya i…

— Jeśli ten Ivroy jest taki wszechmocny, to czemu musiał wynająć Snithiana do kradzieży obrazów?

— Daj spokój tym pomysłom, Dan. Zadaniem Snithiana było tylko powielanie dzieł sztuki przed wysłaniem ich Ivroyowi.

— Haj — wtrącił się Snithian. — Zamknijcie te paplające gęby!

Dzhackoon uniósł rękę.

— Uprzejmie proszę, żeby pan zamilkł, proszę pana. Proszę pozwolić moim więźniom na tę interesującą rozmowę.

— Może pan zwolnić ich pod moją opiekę — warknął ostro Snithian.

Dzhackoon pokręcił głową.

— Niestety, nie, proszę pana. Bardzo niewłaściwa uwaga – nawet z ust agenta Ivroya. — Skinął głową w stronę Dana. — Może pan kontynuować.

— W jaki sposób powielacie dzieła sztuki? — dopytywał się Dan.

— Przy pomocy duplikatora materii. Ale, jak już wspomniałem, Snithian dostrzegł sposobność do uzyskania dodatkowych korzyści, zatrzymując sobie dzieła sztuki w celu ich wielokrotnego powielenia i sprzedaży innym klientom – takim jak ja.

— Chcesz powiedzieć, że kręcą się tu także inni… klienci?

— Mam dziesiątki konkurentów, Dan, wszyscy mają pełne ręce roboty, eksportując wasze artefakty. Jesteście pracowitą i utalentowaną rasą, jak wiesz.

— Co oni kupują?

— Wszystko po trochu, Dan. Już wcześniej miało to wpływ na wasze wzory, z przykrością muszę to stwierdzić. Dzieła tracą swoją miejscową czystość.

Dan skinął potwierdzająco.

— Ja sam miałem poczucie, że niektóre z tych nowoczesnych mebli zostały zaprojektowane dla Marsjan.

— W większości dla Ganimedan. Marsjanie są miłośnikami sztuk graficznych, podczas gdy wasze samochody są projektowane na handel z Plutonianami. Mają barokowe poczucie humoru.

— A co zrobi Ivroy, kiedy się dowie, że Snithian go oszukiwał?

— Coś tam już wymyśli, ośmielam się twierdzić. W pewnym sensie również i siebie winię za jego występek. Widzisz, to mój transporter umożliwił Snithianowi przeprowadzanie jego kradzieży. Początkowo mógł

tylko wejść do galerii, niepostrzeżenie przeskanować obraz, wrócić do domu i wykonać jego zapis przy pomocy duplikatora. Transporter podsunął mu pomysł wynoszenia dzieł sztuki en masse, powielania ich i zwracania następnego dnia. Niestety, zgodziłem się połączyć z nim swoje siły. Zaczął jednak robić się coraz bardziej chciwy. Zatrzymywał obrazy tutaj i następnie wykonywał znaczną liczbę ich kopii – które bez wątpienia sprzedawał moim konkurentom, oszust jeden!

Dzhackoon wyciągnął notes i zaczął w nim szybko coś notować.

— Dobrze, a teraz poproszę o ich nazwiska i adresy — powiedział. — To jest największa sprawa w historii IWSM.

— A zasługa będzie pańska, drogi panie — zachęcił go Blote. — Czuję w powietrzu rychły awans. — Wyciągnął do przodu skute nadgarstki. — Czy mógłby pan?

— No cóż… — Dzhackoon otworzył kajdanki. — Wydaje mi się, że mogę na to pozwolić. Tylko niech pan nie wspomina o tym inspektorowi Spoghodo.

— Nie wolno panu tego robić! — ostro rzucił Snithian. — Ci osobnicy są niebezpieczni!

— Decyzja należy do mnie. A teraz…

Snithian nagłym ruchem wyciągnął schowany pistolet.

— Nie pozwolę na wtrącanie się żadnym wścibskim manipulatorom!

Od strony drzwi doleciał jakiś hałas. Wszystkie głowy odwróciły się w tę stronę. W drzwiach stała dziewczyna, którą Dan widział wcześniej w domu, spokojnie wodząc wzrokiem od Snithiana przez Blotego do Dzhackoona. Kiedy jej spojrzenie napotkało Dana, uśmiechnęła się. Dan pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział tak pięknej twarzy – i niczym nie ustępującej jej figury.

— Wyjdź stąd, głupia kobieto! — warknął Snithian. — A właściwie nie; wejdź do środka i zamknij za sobą drzwi.

— Zostaw tę dziewczynę w spokoju, Snithian — wychrypiał Dan.

— Teraz będę musiał zniszczyć was wszystkich — zagroził Snithian. — Ty pójdziesz na pierwszy ogień, paskudny dzikusie!

Wycelował broń w Dana.

— Proszę odłożyć ten pistolet, panie Snithian — oznajmiła dziewczyna ciepłym, melodyjnym głosem. Wydawało się, że widok grupy groteskowych obcych wcale jej nie zaniepokoił, zauważył mimochodem Dan.

Snithian przekręcił się w jej stronę.

— Ty ośmielasz się…!

— Och tak, ośmielam się, panie Snithian. — Jej głos brzmiał teraz pewnie i dźwięcznie. Snithian popatrzył na nią uważnie.

— Kim… jesteś… ?

— Jestem Ivroy.

Snithian stracił rezon. Pistolet upadł na podłogę. Jego fantastycznie wysoka postać skuliła się, a twarz nagle poszarzała.

— Proszę wracać do swego domu, Snithian — powiedziała ze smutkiem dziewczyna. — Zajmę się panem później.

— Ale… ale… — Jego głos zmienił się w cienkie popiskiwanie.

— Myślał pan, że uda się panu ukryć swoją zdradę przed Ivroyem? — powiedziała miękkim tonem.

Snithian odwrócił się i wyszedł z pokoju, skłaniając się w niskich drzwiach. Ivroy zwróciła się do Dzhackoona.

— Pan i pańska służba otrzymujecie pochwałę — powiedziała. — Zostawiam panu aresztowanie sprawców. — Skinęła głową w stronę Blote. — Ufam, że pomoże pan w wykonaniu tego zadania… oraz że ograniczycie swoje działania do obszarów nie objętych Interdyktem.

— Ależ oczywiście, wasza czcigodność. Ma pani moje słowo, jako Weganina. Proszę mnie kiedyś odwiedzić na Vorplisch. Byłbym bardzo rad, gdyby moje żony i dzieci mogły się z panią spotkać. — Zamrugał raptownie oczyma. — Na razie, Dan. To była fenomenalna zabawa.

Dzhackoon i Blote przeszli przez Portal. Ten zamigotał i zniknął. Ivroy odwróciła się w stronę Dana. Przełknął z trudem ślinę, przyglądając się grze świateł na jej długich do ramion włosach, złocistych, błyszczących jak z włókna szklanego…

— Nazywasz się Dan?

— Dan Slane — powiedział. Wziął głębszy oddech. — Ty naprawdę jesteś Ivroy?

— Jestem Ivroy, który jest wielością w jednym.

— Ale ty wyglądasz jak… po prostu zwykła, piękna dziewczyna.

Ivroy uśmiechnęła się. Jej ząbki są równiutkie jak najlepiej dobrane perły, pomyślał Dan, oraz białe jak…

— Ja jestem dziewczyną, Dan. Ty i ja jesteśmy kuzynami, rozdzielonymi przez ogromną tajemnicę czasu.

— Blote – a także Dzhackoon i Snithian zdawali się sądzić, że Ivroy to czynnik napędowy Wszechświata. Ale…

Ivroy położyła swą dłoń na dłoni Dana. Była delikatna jak płatek kwiatu.

— Nie kłopocz się tym wszystkim na raz, Dan. Czy chciałbyś zostać moim agentem? Potrzebuję zaufanego przyjaciela, aby pomógł mi tutaj w mojej pracy.

— Co miałbym robić? — usłyszał Dan swój głos.

— Pilnować rasy, która pewnego dnia stanie się Ivroyem.

— Nie rozumiem tego wszystkiego – ale miałbym ochotę spróbować.

— Będziesz musiał bardzo wiele się nauczyć, Dan. Pełne wykorzystanie umysłu, kontrola starzenia się i chorób… Nasza praca będzie trwała przez wiele stuleci.

— Stuleci? Ale…

— Nauczę cię, Dan.

— Brzmi świetnie — powiedział Dan. — Niemal za dobrze, żeby była to prawda. Ale skąd wiesz, że jestem właściwym człowiekiem do tej roboty? Nie powinienem przejść jakiejś próby?

Popatrzyła na niego, uśmiechnięta, z lekko rozchylonymi ustami. Pod wpływem odruchu Dan podsunął jej dłoń pod podbródek, przyciągnął jej twarz bliżej i pocałował ją w usta…

Całą minutę później, Ivroy wtuliła się w ramiona Dana i ponownie na niego popatrzyła.

— Przeszedłeś próbę — powiedziała.

KONIEC